

Angielska choroba

15 listopada 2014

Paryski finał Pucharu Mistrzów z 1975 r. przeszedł do historii. Nie za sprawą tego, co działo się na boisku, ale tego, co działo się na trybunach, a także polowania na Bawarczyków, które urządziła ekipa „hoolsów” Leeds United. To był pierwszy kontynentalny pokaz „angielskiej choroby”, która kilka lat później była z Wyspami wiązana jak fish & chips.

– Dla angielskiego futbolu to najważniejsza noc od lat. Dla Leeds United to najważniejsza noc od zawsze – mówił do milionów Anglików zebranych wokół radioodbiorników legendarny spiker Alan Parry. Mówił tak, ponieważ na ten mecz Leeds czekało długo. Dotąd było doskonałe w zajmowaniu drugich miejsc – już wtedy w samej lidze miało ich na koncie aż pięć – ale po trofea sięgało wyjątkowo rzadko. Tym razem miało niezwykle mocną oraz ograną w Europie drużynę.

Liczono na sukces, ale sukcesu nie było. Anglicy atakowali przez cały mecz, lecz po błędach sędziego oraz dwóch kontratakach przegrali 2:0. Arbiter nie odgwizdał ewidentnego rzutu karnego dla Leeds i z powodu dyskusyjnego spalonego nie uznał bramki. 15 tys. angielskich fanów wpadło w szal. Przy stanie 1:0 zaczęto demolować trybuny, a na boisko poleciały wrywane ławki oraz kamienie. Spokój zapanował jedynie na chwilę, co pozwoliło dokończyć mecz, ale po ostatnim gwizdku awantura rozgorzała na dobre. Francuska policja, zupełnie nieprzygotowana na to, co robili rozwścieczeni i nieźle zorganizowani wyspiarscy chuligani, nie mogła sobie poradzić. Ze stadionu bitwa przeniosła się na ulice, gdzie Anglicy urządzili polowanie na Niemców. Napadli między innymi na autokar z Bawarczykami, który niemal wywrócili. Niszczyli samochody.

W Paryżu były wówczas ekipy telewizyjne z całej Europy. Telewidzowie na całym kontynencie mogli po raz pierwszy

zobaczyć sceny, które już wkrótce miały stać się nieodłącznym elementem piłkarskich meczów. Początkowo tych z udziałem wyspiarskich drużyn, ale z czasem także innych, w tym, a może przede wszystkim, tych z Polski. Leeds wykluczono wtedy z pucharów na pięć lat (później zmniejszono karę do dwóch lat), ale niewiele to zmieniło, bo miejsce ekipy LSC – nazwa pochodziła od tego, że chłopcy jeździli pociągami zwykłymi, a nie meczowymi, by uniknąć obstawy policji – zajęły kolejne. Do tego coraz lepiej zorganizowane i coraz bardziej agresywne. Jednak finał z 1975 r. był początkiem jedynie dla Europy, bo na samych Wyspach kibolska wojna zaczęła się kilka lat wcześniej, a stadionowa chuliganka nie była niczym nowym.

WOJNA WSZYSTKICH ZE WSZYSTKIMI

Gdyby się uprzeć, to do jej początków dałoby się cofać niemal bez końca. Niektóre historie piłkarskiej chuliganerki – wiadomo, piszą to akademicy – potrafią zaczynać od XIV wieku, kiedy to Edward IV zakazał meczów ówczesnej piłki, bo za dużo było przy ich okazji mordobicia. Inni wolą wskazać wiek XIX, bo stadionowe bójki zaczęły się wkrótce po tym, jak narodził się nowoczesny futbol. Jednak wówczas kibicowskie przepychanki przypominały raczej to, co da się zobaczyć podczas sąsiedzkich awantur w powiatowych derbach, niż prawdziwe wojny, do których dochodziło na piłkarskich trybunach w latach 80., bo choć tradycja jest wcześniejsza, to współczesny charakter zaczęła zyskiwać niedługo przed paryskim finałem.

To dopiero wtedy bojówki stały się nie tylko sposobem na życie, ale także na zarabianie pieniędzy, a władzę na ulicach w wielu częściach brytyjskich miast niepostrzeżenie przejęły „ekipy”. Ich pojawienie się początkowo ignorowano lub bagatelizowano. Tak bardzo, że jeszcze w 1973 r. – dwa lata przed Paryżem – kibice na brytyjskich stadionach nie byli rozdzieleni i nikt nawet nie pomyślał, by odgradzać ich od boiska. Zakładano, że państwo w każdej chwili może sobie poradzić z bandami wyrostków, i przegapiono moment, kiedy stadionowe bandy przestały nimi być. Za walkę z nimi zabrano

się dopiero, kiedy zaczęli ginąć ludzie. Pierwszą ofiarę kibolskich porachunków kraj zauważył w 1973 r., kiedy podczas drugoligowego meczu kibol Boltonu zabił na stadionie nastolatka z Blackpool. W tym samym roku Manchester United spadł do drugiej ligi i jego fani – sami siebie nazwali „Czerwoną Armią” – zaczęli korzystać z wyjazdów do mniejszych miejscowości. Tam robili, co chcieli, terroryzując mieszkańców i bez skrępowania ignorując służby porządkowe. Demolka, napady i rozboje były czymś na porządku dziennym, a małomiasteczkowa policja nie mogła się równać ze zorganizowanymi i liczniejszymi kibolami. Dwa lata później w Londynie rozegrała się tzw. bitwa o utrzymanie. I nie chodziło bynajmniej o to, że o pozostanie w lidze walczyli ze sobą piłkarze Chelsea i Tottenhamu, a o to, że fani obu drużyn starli się ze sobą przed meczem na murawie w potyczce, którą niejeden średniowieczny kronikarz uznałby zapewne za pełnokrwistą bitwę. Niewiele później wokół stadionu Millwall było jeszcze ciekawiej, a wielogodzinna awantura skończyła się tym, że rannych liczone na tuziny.

DUMNE BRYTYJSKIE EKIPY

Policja była bezradna. Stawała naprzeciw doskonale zorganizowanych gangów, które nie tylko rządziły trybunami, ale też zdobywały coraz silniejszą pozycję w przestępczym półświatku. Szło to bardzo szybko, bo złożyło się tak, że ich możliwości, a wraz z nimi zasoby finansowe i zdolność zapewnienia bytu „swoim”, rosły ze skokowym wzrostem bezrobocia. To zapewniało niemal nieograniczony dopływ rekrutów, których z jednej strony do chuliganerki pchał brak innych możliwości, a z drugiej przyciągał też przemawiający do wyobraźni styl nowych gangów.

Ten zaś zależał od sąsiedztwa, w którym dany gang powstał, i doskonale do niego pasował. Z jednej strony byli „the Zulu Warriors” z Birmingham. Bojówka, która skupiała ludzi należących do mniejszości etnicznych, a awantury rozpoczynała okrzykiem: „Zulus! Zulus!”. Ta grupa zaistniała dopiero w 1982

r., ale zapisała kilka kart w historii stadionowego chuligaństwa. Najważniejszą była zapewne ta z 1985 r., gdy Zulusi starli się ze wspomnianym już Leeds Service Crew, który z kolei pokreślał swoje rasistowskie sympatie i angażował się w działania Brytyjskiej Partii Narodowej. Po bitwie naliczono ponad 200 rannych, którzy zgłosili się lub zostali odwiezieni do szpitali, i jedną ofiarę śmiertelną. Wśród pobitych było 100 policjantów.

Podobnie do Leeds było niemal wszędzie tam, gdzie kluby przyciągały kibiców z dzielnic zamieszkałych przez białych Brytyjczyków. Także tych należących do klasy średniej. Najlepszym przykładem mogą być „Chelsea Headhunters” – grupa słynąca z niechęci do imigrantów, która nieraz nabierała bardzo realnego charakteru. Zdarzyło się na przykład tak, że ci samozwańczy „łowcy głów” po przegranym meczu wpadli do prowadzonego przez Amerykanina pubu z okrzykami: „Wojna! Wojna! Wojna!” i zatłukli na śmierć właściciela. Wszystkiemu towarzyszyły okrzyki: „Pier.... Amerykanie. Nie będziecie zabierać nam naszej pracy!”. Liderzy „Chelsea Headhunters” to zresztą ludzie, którzy byli wiązani ze skrajnie prawicowymi organizacjami w rodzaju Combat 18.

Podobnie jest w przypadku najśłynniejszego – za sprawą serii filmów poświęconych futbolowym chuliganom z Londynu, które weszły na ekrany kin około roku 2000 – londyńskiego konfliktu. Tego, w którym walczą ze sobą fani Millwall oraz Inter City Firm związana z West Ham United, a swoje do powiedzenia ma też Chelsea. Millwall jest zresztą w ogóle ciekawe, bo to jeden z niewielu klubów piłkarskich, który jest znany przede wszystkim z kiboli, a nie sportowych sukcesów. Tych pierwszych ma bowiem wyjątkowo brutalnych, a drugich nie osiąga od dawna. Bojówka nazywała się „Bushwackers”, a zasłynęła choćby tym, że opracowała stadionową broń – tzw. millwalską cegłę – którą dało się zrobić z namoczonej gazety oraz garści drobnych. Najchętniej była ona wykorzystywana w starciach z fanami z West Hamu, którzy w przeciwieństwie do swoich największych

rywali byli towarzystwem raczej międzynarodowym, co tylko zaostrzało konflikt.

WOJNA Z KIBOLAMI

Po jednej z ustawek Bushwackersów – było to w 1985 r. – z kibolami Chelsea oraz West Hamu, kiedy raniono 31 policjantów, Margaret Thatcher wypowiedziała chuliganom wojnę. (Nie była to zresztą pierwsza wojna pani premier, bo miała ona do nich wyjątkową skłonność. Wcześniej walczyła wszak z Argentyną, górnikami i związkami zawodowymi). Rzeczywiście było z czym wojować, bo oprócz tego, że do starć dochodziło regularnie przy okazji meczów piłkarskich, liderzy bojówek korzystali z możliwości i rozwijali swoje małe „przedsiębiorstwa”. Gangi w drugiej połowie lat 1970. i latach 1980. stały się zapleczem dla zorganizowanej przestępczości, niekiedy zresztą przyjmując mafijną formę i kontrolując handel narkotykami oraz kryminalistów działających w ich rewirach. Na samych stadionach też było coraz gorzej.

Symbolem stała się tragedia na Heysel, gdy skutkiem awantur wywołanych przez chuliganów z Liverpoolu było zawalenie się jednej ze ścian stadionu i śmierć 39 osób. Jednak to nie wstrząs spowodowany wydarzeniami w Heysel sprawił, że sytuacja zaczęła się poprawiać. Jego skutkiem było jedynie to, że Anglicy przestali grać w Europie, bo najpierw Thatcher zażądała od FA wycofania wszystkich angielskich drużyn z rozgrywek kontynentalnych, a kilka dni po tym UEFA wykluczyła je bez określenia terminu powrotu. Wojna, którą wypowiedziała, polegała przede wszystkim na tym, że zaostrzono kary za przestępstwa stadionowe i zalecano prokuratorom wnioskowanie o możliwie najwyższe kary. Wprowadzono też zakazy stadionowe, ale mimo to niewiele się zmieniało. Wkrótce Anglią miała wstrząsnąć kolejna tragedia. W 1989 r. w Sheffield w katastrofie budowlanej, do której doszło w czasie meczu Pucharu Anglii rozgrywanego na stadionie Hillsborough, zginęło 96 osób.

I choć akurat tam do walk nie doszło, to właśnie ten wypadek był impulsem do zmiany przepisów na stadionach, a także prawa. W 1991 r. uchwalono Football Offences Act. W tym samym czasie zaczęto obserwować powolny spadek liczby przestępstw z udziałem futbolowych chuliganów. Dziś dochodzi do nich przede wszystkim przy okazji zagranicznych wyjazdów i w czasie „ustawek”, które mają taki atut, że w ich trakcie nikomu postronnemu nie dzieje się krzywda, a tymi, którzy chcą się okładać po pyskach, bo to lubią, niespecjalnie trzeba się przejmować. Najpopularniejsza – przynajmniej z polskiej perspektywy – wersja zakłada, że to właśnie nowe prawo pozwoliło zapanować nad chuliganami. Chodzi dokładnie o tę opowieść, w której bandytów przed walką powstrzymują kartki grożące grzywną, wiszące na płotach okalających murawę. Brytyjscy specjaliści na ogół widzą to jednak inaczej. Nie odejmują znaczenia nowemu prawu, ale wskazują, że większy efekt miały zmiany społeczne. Jakie? Przede wszystkim demograficzne i na rynku pracy.

Wbrew bowiem powtarzanej legendzie o gospodarczych sukcesach rządu Margaret Thatcher był to bardzo ciężki okres dla „zwykłych” Brytyjczyków. Kryzys końca lat 1970., a później rozpad wyspiarskiego przemysłu w 1980. wyciągnęły bezrobocie na niespotykany wcześniej poziom. W 1982 r. liczba bezrobotnych przekroczyła 2 mln (czyli tyle, ile w Polsce w latach 2000-2005, a to z niej najchętniej uciekaliśmy do Anglii), później spadła na moment, by na przełomie lat 1980. i 1990. znów skoczyć na niezwykle wysoki poziom. Do normy powróciła dopiero w drugiej połowie lat 1990. Dokładnie wtedy, gdy zapanowano nad stadionowym chuligaństwem.

To oczywiście nie był przypadek. Zapleczem bojówek była rzesza sfrustrowanych i niemających nic do stracenia młodych ludzi. Mniej frustracji i więcej pracy oznacza zatem po prostu mniej bandytów. Tych stadionowych, ale nie tylko.

Autor: Tomasz Borejza

Źródło: [eLondyn](#)